

# ADRES SUCKEWERA

DAVID ROSKIES



Pod koniec maja 1967 roku matka podniosła słuchawkę w naszym domu w Montrealu, aby zadzwonić do żydowskiego poety Abrahama Suckewera mieszkającego w Tel Awiwie. Z alarmujących nagłówków w trzech gazetach w jidysz, które prenumerowaliśmy, wiedziała, że Sekretarz Generalny ONZ U Thant uległ żądaniom prezydenta Egiptu Gamala Abdela Nasera i wycofał z Synaju Doraźne Siły ONZ. Egipcjanie i Syryjczycy szykowali się do wojny, gromadząc swoje wojska na granicach z Izraelem, który praktycznie rzecz biorąc został pozostawiony przez resztę świata własnemu losowi. Matka zaproponowała, że prześle pieniądze, aby Suckewer, jego żona Frejdeka i ich córka Mirele mogli się schronić w Kanadzie.

Nigdy się nie dowiedziałem, co jej odpowiedział Suckewer. Osobiście poznali się nie tak dawno temu. Kiedy moi rodzice wyjechali w 1930 roku z Wilna, Suckewer, urodzony w 1913 roku, był nastolatkiem, i nigdy się nie spotkali. Ale montrealski salon mojej matki był trwałym elementem jidyszowego świata, znanym równie dobrze jak jej hojność dla żydowskich poetów i artystów, tak więc pod koniec lat pięćdziesiątych ostatecznie doszło do spotkania. Domyślałem się, że teraz roześmiała się w odpowiedzi na jej propozycję udzielenia mi pomocy w wyjeździe z Izraela.

W tym czasie studiowałem w Bostonie, na pierwszym roku w uniwersytecie Brandeisa. Byłem zadeklarowanym Żydem „diasporowym”, uczniem George’a Steinera, teoretycznie nieoddanym żadnemu krajowi i niezwiązanym z żadnym konkretnym miejscem. Dla mnie, kosmopolitycznego dziewiętnastolatka, nikt nie mógł być żydowskim autorytetem moralnym, przekazywać autentyczną tradycję czy przemawiać

w imieniu świętych zmarłych, chyba że się urodził i wykształcił w Starym Świecie, tak jak teologowie A.J. Heschel i Josef Dov Soloveitchik, pisarze jak Elie Wiesel i I.B. Singer, czy uczeni z Brandeis, jak Nahum Glatzer. Albo na zasadzie skrajnego kontrastu Herbert Marcuse, inny Europejczyk wykładający w Brandeis, a wywierający wówczas ogromny wpływ.

Wraz z milionami innych przedstawicieli mojego pokolenia śpiewałem protest songi pod wodzą jednego z naszych – Boba Dylana (a właściwie Zimmermana). Jeśli jednak chodziło o uwodzenie dziewcząt, posługiwałem się jidysz, którego nauczyłem się jako dziecko od mojej matki. Największe sukcesy osiągałem, śpiewając (Pod twoimi białymi gwiazdami) (*Unter dajne wajse sztern*), do słów Suckewera do muzyki skomponowanej w getcie wileńskim podczas II wojny światowej. „Pod twoimi białymi gwiazdami” – śpiewałem – „wyciągnij do mnie twoją białą dłoń/moje słowa są łzami/Pragną spocząć w twojej dłoni”. Z opowieści matki wiedziałem, że piosenki w jidysz zawsze czynią cuda, lecz wiedzy o tym, co należy robić potem, nigdy mi nie przekazała.

Ale w maju 1967 roku, niezależnie od moich kosmopolitycznych poglądów, byłem głęboko przejęty losem żydowskiego państwa. Dlatego czułem się podwójnie rozczarowany reakcją moich rodziców, kiedy to w pierwszym tygodniu czerwca, gdy wojna na Bliskim Wschodzie wisiała na włosku, poprosiłem ich o zgodę na to, abym się zgłosił jako ochotnik na front w Izraelu. Oni jednak stwierdzili, że nie mam żadnych praktycznych umiejętności. Poza tym, jeśli wojna potoczy się pomyślnie dla Izraela, miałem już i tak, zgodnie z wcześniejszym planem, tam wyjechać za dwa

miesiące, aby studiować przez rok w Jerozolimie. Mieli rację – zostałem w domu. Rzeczywiście, kiedy pod koniec lata dotarłem do Izraela wraz z liczącą około trzystu osób grupą studentów, największą, jaką Amerykańskie Towarzystwo Przyjaciół Uniwersytetu Hebrajskiego kiedykolwiek dotąd przysłało, prawdziwa armia żołdaków dokładnie w moim wieku rozgromiła arabskiego wroga i wyzwoliła Stare Miasto w Jerozolimie.

Miałem wziąć udział w kursach uniwersyteckich z literatury jidysz, a ponadto planowałem odbyć podróż po jidyszowych miejscach w Izraelu. Wkrótce odnalazłem wszystkich, którzy jeszcze żyli. W samej telawiwskiej książce telefonicznej znajdowało się więcej jidyszowych powieściopisarzy, poetów, eseistów, dziennikarzy, aktorów, reżyserów, myślicieli, uczonych i działaczy społecznych, niż byłbym w stanie odwiedzić w czasie dziesięciomiesięcznego pobytu w tym kraju. Z garścią żetonów do telefonu wydzwaniałem do całego jidyszowego świata, przedstawiając się dokładnie tak samo: „*Ch’hejs Dowid Roskes. A student fun Kanade. Ch’wolt zejzer weln zich bakenen mit ajch.* Nazywam się David Roskies. Jestem studentem z Kanady. Bardzo chciałbym pana/panią poznać”.

Na czele mojej listy znajdowały się legendarne postaci z Wilna – znajomi rodziców z czasów studenckich. Zacząłem od Iziego Rozenszajna, a następnie skontaktowałem się z dr Aleksandrem Libo, dziarskim kapitanem wileńskiej drużyny wioślarskiej Makabi, który ukrywał się w podziemnym bunkrze i jako jedyny z najbliższego kręgu znajomych moich rodziców przeżył wojnę. Obecnie już dobrze po siedemdziesiątce, nadal prowadził praktykę lekarską w Tel Awi-

## KWARTALNIK HISTORII ŻYDÓW

## JEWISH HISTORY QUARTERLY



W NUMERZE 1 (233)

## „Kwartalnika Historii Żydów”

(Do 2001 roku Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego)  
MIĘDZY INNYMI:

- Stefan Gąsiorowski – *Żydzi w księgach miejskich sądu wójtowsko-lawniczego na przykładzie Żółkwi w XVII i XVIII wieku*  
Szymon Rudnicki – *Pogrom siedlecki*  
Alina Skibińska – *Film polski o Zagładzie*  
Magda Bendowska, Jan Doktor – *Waad Arba Aracot i amsterdamska Biblia w jidysz. Historia pewnej karty tytułowej*

### Warunki prenumeraty:

Na jeden kwartał – 12 zł (dostawa za granicę + rzeczywiste koszty wysyłki). Wpłaty na terenie kraju: jednostki kolportażowe RUCH S.A. właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora. Dostawa egzemplarzy następuje w uzgodniony sposób. Na teren kraju gdzie nie ma placówek RUCH S.A. oraz za granicę: RUCH S.A. Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy, 01-248 Warszawa, ul. Jana Kazimierza 31/33. Wpłaty w PLN na konto: PEKAO SA IV Oddział Warszawa 68124010531111000004430494. Dostawa za granicę odbywa się pocztą zwykłą w ramach opłaconej prenumeraty, z wyjątkiem zlecenia dostawy pocztą lotniczą, której koszt w pełni pokrywa zlecniodawca. Terminy przyjmowania prenumeraty: do 5 każdego miesiąca poprzedzającego okres rozpoczęcia prenumeraty. Zlecenia na prenumeratę dewizową przyjmowane od osób zamieszkałych za granicą realizowane są od dowolnego numeru. Blższych informacji udziela RUCH S.A. Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy, 01-248 Warszawa, ul. Jana Kazimierza 31/33; tel. 22-532-88-23, 22-532-88-16, 22-532-88-19; fax 22-532-87-34; infolinia 0-804-200-600; www.ruch.com.pl

Ten i poprzednie numery „Kwartalnika Historii Żydów”,  
można kupić w siedzibie Żydowskiego Instytutu Historycznego  
00-090 Warszawa, ul. Tłomackie 3/5, tel. (+48) 22 827 92 21

## „Zeszyty Literackie” polecają

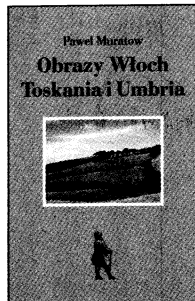
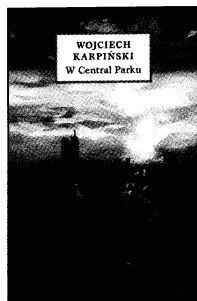
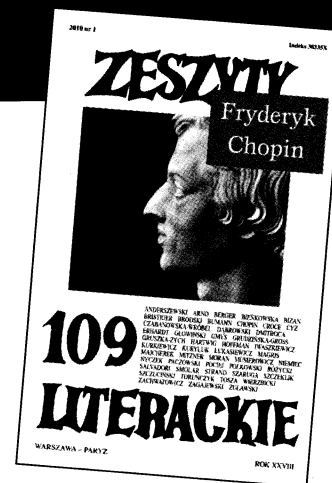
### „Zeszyty Literackie” Nr 109

Mój Chopin: Anderszewski, Bieńkowska, Bristiger, Bumann, Cyz, Erhardt, Głowiński, Hoffman, Musierowicz, Paczowski, Pocij, Wierzbiński, Zachwatowicz, Żuławski...

o Chopinie: Berger, Bizan, Gmys, Moran, Szczeklik...

Chopin w literaturze: Achmatowa, Balzac, Baudelaire, Brodski, Cioran, Czapski, Delacroix, Eliot, Gide, Gombrowicz, Hartwig, Herbert, Hesse, Iwaszkiewicz, Miłosz, Mann, Nietzsche, Norwid, Pasternak, Proust, Wilde...

cena 15 zł



NOWOŚCI

tel. (+48) 22.826.38.22  
biuro@zeszytyliterackie.pl  
www.zeszytyliterackie.pl



wie. Pacjenci, których zobaczyłem w jego poczekalni, byli w równie podeszłym wieku co on i mówili wszelkimi europejskimi językami, tylko nie po hebrajsku. Przy szklance izraelskiego soku grejpfrutowego, napoju, od którego już zdążyłem się uzależnić, Izie Rozenszajn powiedział mi, że owego dnia w 1944 roku, kiedy Armia Czerwona wyzwoliła Wilno, jego żona martwiła się, czy jej suknia wciąż będzie uchodzić za elegancką wśród kobiet znajdujących się na powierzchni.

Więcej trudu kosztowało mnie jednak zaaranżowanie spotkania z Markiem Dworzeckim, innym słynnym lekarzem z Wilna, obecnie zamieszkałym na placu Dizengoffa w Tel Awiwie. Tęgi mężczyzna o ogromnych czarnych brwiach, zupełnie łysy, powitał mnie w drzwiach eleganckiego mieszkania. Młodszy ze dwadzieścia lat od dr. Libo posługiwał się tym samym wileńskim jidysz – szorstkim i dosadnym – co Palewscy z Nowego Jorku i Tewke (Ted) Szeres z Montrealu, byli partyzanci.

Przyniosłem mu kopię mojej sztuki *Hineni!*, którą wystawiliśmy w Brandeis, zarówno w angielskim oryginale, jak i w przekładzie na jidysz. W tym dramacie o nieudanym powstaniu w wileńskim getcie w 1943 roku kwestia narratora – powiedziałem dr. Dworzeckiemu – została zaczerpnięta dosłownie z *Obrony lekarza*, eseju napisanego przez niego w Paryżu niedługo po zakończeniu wojny. „Myśli są niepokojne, a wspomnienia żywe” – czytał, marszcząc swoje krzaczaste brwi. „Jak niegdyś moi przodkowie, wstaję o północy, aby opłakiwać zburzenie Świątyni. To pradawna ceremonia nocnych rozmyślań w nowej formie i z nową treścią”. Był ciekaw, jak przedstawiłem Jakuba Gensa, prezesa Judenratu, i zapytał, czy wiem, że syn Zelig Kalmanowicza, Szalom Luria, mieszka w kibucu? Nie pytał o nic, co by dotyczyło mnie samego, jak to się stało, że młody Żyd urodzony w Kanadzie mówi płynnie po żydowsku. Odnalazłem go, aby dzielić jego smutek i to wystarczyło.

Moim sekretnym celem w Izraelu było wydanie dziesiątego numeru naszego studenckiego pisma w jidysz „Jugntruf”, opierając się wyłącznie na miejscowych twórcach. Z tego rodzaju ambicjami literackimi ambicjami mogłem się podzielić tylko z jednym człowiekiem, mieszkającym pod adresem wysoko notowanym, w ekskluzywnej północnej części Tel Awiwu.

Jadąc powoli na ostatnie piętro windą mogącą pomieścić najwyżej trzy osoby, wyobraziłem sobie siebie jako młodego pisarza z prowincji, który z hebrajskim rękopi-

śpisz, który usłyszałem na dole z domofonu, musiał należeć do Frejдке. To ona była tą „F. Lewitan”, której młody Abraham Suckewer zadedykował swój wiersz (Na moim wędrownym flecie) [*Ojf majn wander-fajfl*], kiedy już zakochali się w sobie. „I cóż można uczynić w takiej chwili?” – pisał – „O, mój świecie z tysiąca barw!/Jak tylko/zbierać do torby wiatru/czerwone piękno/i przynosić do domu na kolację?”. Trudno o lepsze imię dla żony poety – Frejдке, czyli radość. Boże, jakże młodzieńczo wciąż wyglądała z tymi jej kruczoczarnymi włosami!

Mimo południowego skwaru w mieszkaniu było chłodno i cicho, na wszystkich ścianach wisiały dzieła Chagalla i inne bezcenne obrazy. Niektóre przedstawiały samego Suckewera na różnych etapach życia – to w okularach w ciemnej oprawie, to znów z grzywą brązowych włosów i w golfie w kolorze *bohemian-blue*. Na stoliku do kawy piętrzyły się książki w języku jidysz, hebrajskim, rosyjskim, polskim, francuskim i niemieckim. Naprzeciw kanapy, na której usiedliśmy, stało biurko Suckewera, na tle ściany z półkami pełnymi książek i teczek z rękopisami i korespondencją na tematy literackie. Wyobraziłem sobie, że to na tym właśnie biurku dokończył swój wielki poemat epicki *Gehejmsz-tot* (Tajemne miasto), o ostatnich dziesięciu Żydach mieszkających w kanałach Wilna.

Suckewer miał na sobie koszulę w szkocką kratę z krótkim rękawem, rozpiętą pod szyją. Jego włosy zdążyły się przerzedzić od naszego ostatniego spotkania, niezapomnianego chanukowego wieczoru w Montrealu w 1963 roku, a czoło wyrażało stanowczość, wydawało się twardsze niż krzemień.

Dlaczego przyszedłem tutaj w ten upał? *Wajl wer es kumt cu ajch iz oyle-regl* – chciałem powiedzieć, ponieważ kto przychodzi tutaj, wznosi się na szczyty. Zamiast tego odparłem z rewerencją, w trzeciej osobie: „Czyż nie mieszka na ostatnim piętrze? Jeśli nie wyżej?” Frejдке, która właśnie

אברהם סוצקבר

סיביר

דואמה



מיריש: ה. בנימין  
ציריך: מארק שאנאל

Strona tytułowa poematu *Syberia*  
z rysunkami Marka Chagalla, Jerozolima 1953

sem w dłoni wyprawił się do Warszawy, aby stanąć na progu mieszkania wielkiego I. L. Pereca. Perce przywita mnie w atlasowej bonzurce, paląc fajkę lub cygaro, i zadecyduje, czy moją silną stroną jest poezja liryczna, czy realistyczne szkice, i wyjaśni, dlaczego powinienem przestawić się z hebrajskiego, czytanego przez zaledwie tysiące ludzi, na jidysz, którym posługują się miliony.

wróciła z wysoką szklanką soku grejfrutowego, roześmiała się radośnie z mojej aluzji do słynnego opowiadania Pereca o świętym cadyku.

– Ach – rzekła – mieszkamy w domu z windą, ale jakże bardzo Abrasza tęskni teraz za listonoszem! Kiedy mieszkali na drugim piętrze w innym miejscu Tel Awiwu, wyjaśnił Suckewer, podchwyciwszy wążek – listonosz wykrzykiwał do niego z ulicy: „Suckewer! Lejwik przysłał rękopis!” „Suckewer! Jest duża koperta od Opatoszu!”

Teraz była moja kolej na śmiech. Śmiałem się z zakłócania prywatności pisarza. Śmiałem się z chucpy prostego Żyda oznajmującego całemu światu wielkie nazwiska literatury jidysz. Śmiałem się z wywrotowej działalności izraelskiego listonosza wykrzykującego w jidysz w hebrajskim mieście Tel Awiwie. Faktycznie jidyszowi pisarze mieli zwyczaj dawania swoim czytelnikom domowych adresów. Ale teraz, kiedy Percec nie mieszkał już w Alejach Jerozolimskich 83, a Hilel Cejtlin nie królował na Śliskiej 60 w Warszawie, mieszkanie Suckewera było jedynym miejscem, gdzie każdy rękopis w jidysz mógł wciąż znaleźć dom. Kiedyś – jeśli Bóg da – także mój.

Podobnie jak listonosz, do Suckewera nie należało przychodzić z pustymi rękoma. Trzeba było przynieść wieści ze świata, najlepiej ze świata jidysz. Ale także wszelkie nowinki z żydowskiego czy literackiego świata. Powiedziałem więc Suckewerowi o profesorze Shmeruku, z którego żoną był spokrewniony, a na którego zajęcia uczęszczałem w Jerozolimie, a także przekazałem wieści z domu. Tak, to prawda, że moja matka i poeta Melech Rawicz się pokłócili. Skąd wiem, że tym razem na dobre? Bo kazała usunąć jego popiersie z brązu z naszego salonu i przenieść je do piwnicy. Czy byłem w Nowym Jorku na pogrzebie Uriela Weinreicha, żydowskiego językoznawcy, którego błyskotliwą karierę przerwała białaczka? Nie, nie byłem. Ani też nigdy nie spotkałem tego człowieka, który był moim niedoszłym nauczycielem.

Otoczony tymi wszystkimi książkami i dziełami sztuki, z dala od południowego upału i niezdolnej wilgoci, siedziałem

na kanapie z Suckewerem z lewej strony, a Frejдке z prawej, zdając sobie sprawę, że rozmowa o interesach, o możliwości wydania naszego studenckiego pisma w Izraelu, równałaby się świętokradztwu. Celem tego spotkania było stworzenie atmosfery, by ruszyć z nowymi sprawami, przygotowanie klimatu dla wspomnień, podczas gdy pod powierzchnią naszych słów, poza naszą zażyłością, czaiły się siły zła, które zaledwie wczoraj zniszczyły Wilno, zniszczyły jidysz, zniszczyły nasz naród. Nasza konwencjonalna pogawędka – podobnie jak poezja Suckewera – utrzymywała demony na wodzy.

Wilno, 1928. Łało jak z cebra, a piętnastoletni Abrasza Suckewer był zupełnie bez grosza. Co robić? W „Piccadilly” po drugiej stronie ulicy grano najnowszy film, więc postanowił nie ruszać się z miejsca, dopóki nie znajdzie pieniędzy na bilet. I oto, rozglądając się bacznie, nagle zauważył w rynsztoku całą złotówkę. Za resztę kupił sobie lody.

Wilno, 1943. Suckewer i trzydziestu dziewięciu innych, schwytych później przez Niemców Żydów, pracowało w budynku Żydowskiego Instytutu Naukowego – JIWO, poza gettem, jako część Papierowej Brygady, która miała za zadanie ukryć skarby kultury, aby nie padły łupem Niemców. (Ukryli przed Niemcami prawdziwe skarby. Ale o tym dowiedziałem się dużo później). On i Rochl Kryńska pracowali obok siebie, kiedy nagle zwrócił się do niej: „Rochl, podejź do tamtej półki i wyciągnij siódmy tom *szas* [hebr. *szisza sedarim* – sześć porządków, Miszna], a gwarantuję ci, że znajdziesz wewnątrz amerykańskie dolary”. Rochl, która od dawna była pod urokiem Suckewera, o nic nie pytając podeszła do półki, wyciągnęła siódmy tom – *Gitin* (Listy rozwodowe), jak mi się zdaje, przekartkowała strony i znalazła... 125 dolarów.

Sceptycy powiedzą, że Suckewer osobiście ukrył te pieniądze. Pytam was: Gdzie żydowski poeta w okupowanej przez nazistów Polsce zdobyłby taką astronomiczną sumę obcej waluty? Zatem jedynym racjonalnym wyjaśnieniem jest jasnowidztwo Suckewera. Zapomniałem jednak zapytać, co zrobili z tymi pieniędzmi, czy zużyli je

na zakup żywności, czy broni. Ale czy to miało jakieś znaczenie?

W innych opowieściach, których akcja rozgrywała się w getcie, oddziałach partyzanckich, czy też w Moskwie, podczas kulminacji powojennego terroru stalinowskiego, postać Suckewera znowu zatriumfowała nad pewną śmiercią, ponieważ potrafił odczytywać hieroglify historii. W cieniu Kremla oświadczył żonie: „Frejдке, zobaczysz. Któregoś dnia w Moskwie zabraknie wagonów do wywożenia tych wszystkich pomników ojczulka [Stalina] na śmietnik”. Frejдке, uśmiechając się szeroko, przytaknęła.

Po wojnie Suckewer nie szczędził wysiłków, aby ratować *szejmes*, święte teksty [od *szem* – słowo, jak w haSzem – Bóg; fragmenty tekstów zawierających zapisane Imię Boże] pisane przez tych, którzy już nie żyją. Gdy znaleźli się znowu w Wilnie, młody człowiek, Awremł Golub podbiegł do niego i szepnął mu do ucha: *Gebn cy nit gebn?* (Dać czy nie dać – to znaczy, czy przekazać NKWD archiwum kowieńskiego getta, czy nie?) *Nit gebn!* (nie dać) – brzmiała odpowiedź wyroczni.

Jako że nie przyszedłem na tę pierwszą wizytę z pustymi rękoma, nie odszedłem też bez niczego. Oprócz najnowszego numeru „Di Goldene Kejt” (Złoty łańcuch), periodyku literackiego w jidysz, który Suckewer redagował do 1949 roku, podarował mi najnowszy, pięknie wydany tom jego poezji z nagryzmołonym własnoręcznie portretem nadającym się do oprawy. Czy może w zamian za hojność mojej matki? Dlaczego ona – i nie tylko ona – wspierała go tak szczerobliwie? Czyż wielkości poety nie należy mierzyć jedynie wedle jego poezji? Ach, wiele jeszcze musiałem się nauczyć.

Sześć tygodni później, w pogodne wrześniowe popołudnie, Suckewer miał coś do załatwienia w centrum Tel Awiwu w wydawnictwie im. Pereca na ulicy Allenby’ego, a ja chętnie mu towarzyszyłem. Trudno o lepszą okazję, aby go spytać, czy nie zna kogoś, kto mógłby złożyć do druku nasze studenckie piśmko ze wszystkimi niezbędnymi znakami diakrytycznymi. Skorzystanie z usług jego własnego zecera – wyjaśnił, kiedy weszliśmy do autobu-

su – było niemożliwe; drukarnia, która wydawała jego utwory, była spółdzielnią związaną z izraelskimi związkami zawodowymi, Histadrut. Nagle usłyszałem, że kierowca woła nas do przodu. Kiedy wchodziliśmy do autobusu, Suckewer przepuścił mnie przodem w ramach – jak sądziłem – *noblesse oblige*. Tymczasem on sądził, że to ja zapłacę za niego. Gdy zdał sobie sprawę z mojego zakłopotania, szybko zapłacił za przejazd.

Po tych wszystkich latach zadawania się z pisarzami i artystami w domu rodziców czułem się strasznie niezręcznie. Co gorsze – nie wykazałem się wyobraźnią religijną, ja, który wyobrażałem sobie, że jestem wyjątkowo czuły na przejawy *sacrum* w sferze codzienności. Suckewer nie był jakimś tam sobie poetą czy gawędziarzem. Jego poezja była pismem świętym, jego dom świątynią, on sam wyrocznią kapłańską. Pielgrzymi przynoszą ofiary, choćby skromne, do świątyni. Czyżbym ja był inny?

Ale popołudnie jeszcze się nie skończyło. Miał spotkanie z dyrektorem wydawnictwa Szlojmem Szwajcerem i strach było patrzeć, jak Suckewer złości się na tego biedaczną, z powodu dwóch błędów w ostatniej książce, którą razem przygotowali do druku. Boże broń, nigdy nie chciałbym się znaleźć na jego miejscu. Ale potem, jak gdyby po to, by wynagrodzić mi zarówno scenę, której dopiero co byłem świadkiem, jak i moje karygodne zachowanie w autobusie, Suckewer zaczął nalegać, abym poszedł z nim do domu na lekką kolację.

Jedliśmy w salonie, na kanapie, i po wypiciu *lechaim* on i Frejдке zaczęli opowiadać mi historię, którą najbardziej chciałem usłyszeć.

Była to opowieść o ich cudownym przelocie ku wolności w 1944 roku za sprawą potęgi *Kol nidrej*, jego poematu z czasów wojny. Rękopis utworu powędrował pieszo aż do Moskwy dzięki partyzantowi o imieniu Jurgis. Kiedy został odczytany na publicznym zebraniu zorganizowanym przez Żydowski Komitet Antyfaszystowski, dwóch jego przewodniczących, pisarz Perec Markisz i aktor i reżyser Szlojme Michoels, spowodowali, przez Justasa Paleckisa, premiera rządu na emigracji sowieckiej Litwy, że wysłano samolot Armii Czerwonej do

lasów, aby uratować wielkiego poetę-partyzanta. Abrasza i Frejдке cudem dotarli do lądowiska na zamrzniętym jeziorze. W kokpicie maleńkiego dwusmigłowego helikoptera było miejsce jedynie dla pilota i żydowskiego poety; z Frejдке przymocowaną pasem do kadłuba z trudem udało im się uciec. Jeśli chodzi o higienę osobistą – Frejдке przerwała wywód Suckewera – to powinienem wiedzieć, że mężczyźni, partyzanci w lasach nad jeziorem Narocz, zupełnie nie zwracali uwagi na brud i wszy; za to ona sama co drugi dzień, nie mogąc się wykapać, tarzała się nago w śniegu.

Patrząc na jego surowe czoło i smutne oczy wyobrażałem sobie, że tak musiał się jawić prorok Ezechiel wygnańcom w Babilonie: Ezechiel, który, kiedy trzeba było ratować słowo Boże, połknął zwój zapisany trenami, elegiami i lamentacjami; Ezechiel, który dla tych niewielu pozostałych przy życiu wiernych powtarzał na nowo swoje wstrząsające wizje kary i zbawienia. Jakże uprzywilejowany się czułem, będąc zaliczony do nich – i w dodatku zaskarbiłem sobie także zaufanie pani Ezechielowej.

Kiedy Suckewer odprowadzał mnie do drzwi, zauważyłem schowaną pośród obrazów olejnych małą blaszaną tabliczkę pokrytą rdzą. Widniał na niej napis: „Wiłkomirska 14”.

– Och – powiedziałem – to był pana adres w Śnipiszkach, gdzie mieszkał pan na poddaszu ze swoją matką. Tam, w czasie Chanuki, kiedy pracował pan nad swoim pierwszym wierszem, dała panu w prezencie wieczne pióro w pudełku z drewna cedrowego.

– Słyszałeś o tym? – zapytał Suckewer, wyraźnie zadowolony.

– Słyszałem, jak pan czytał wiersz na ten temat, w Montrealu.

– Tak – powiedział po chwili przerwy. – To był wspomniały wieczór.

Siedząc w autobusie w drodze na lotnisko w Tel Awiwie przeżywałem ten wieczór raz jeszcze w wyobraźni i nagle wszystko stało się dla mnie jasne.

W 1963 roku Suckewer odbył dłuższą podróż z wykładami do Stanów Zjednoczonych i Kanady, występując kilkakrotnie w moim rodzinnym mieście. Jedno z tych

spotkań, których zdołałem uniknąć, było sponsorowane przez Histadrut i odbyło się w pełnej gali w hotelu Ritz Carlton. Jako że był to pierwszy wieczór Chanuki, wileńskie spotkanie w montrealskiej Żydowskiej Bibliotece Publicznej. Moich rodziców nie było wtedy w mieście i z jakiegoś powodu także moja siostra Ruth, która zorganizowała pierwszą wizytę Suckewera w Montrealu parę lat wcześniej, również nie mogła w nim uczestniczyć. A więc ja sam reprezentowałem rodzinę.

Poza tym, że herbatę i ciasto podano przed spotkaniem zamiast po – dzięki czemu miałem okazję podejść do Suckewera, wręczyć mu kopię mojego pierwszego opowiadania w jidysz *Der internacjonal* (międzynarodowy)<sup>3</sup> i opowiedzieć mu o moich planach literackich – wieczór miał typowy przebieg. Jak zwykle głos zabrali: pan Grossman, obdarzony przenikliwym głosem belferki i nasz miejscowy dostojnik Melech Rawicz, który wygłosił pochwałę czcigodnego gościa za całą literaturę jidysz. Następnie przyszła kolej na pana Rywusza.

Rywusz nie był najlepszym mówcą. Z wyraźnym rosyjskim akcentem zaczął wspominać getto, łapanki, pola śmierci w Ponarach, gdzie zamordowano trzydzieści pięć tysięcy ludzi, noc „żółtych kartek”<sup>4</sup>, brygady pracy, pojmanie Icyka Wittenberga, przywódcy oddziałów bojowych w getcie, nieudane powstanie, ucieczkę do lasu, okrążenie, zdrady, cudowny przelot Abraszy i Frejдке. Kiedy skończył, Frejдке wstała z miejsca. Miała podziękować zebranym gościom, ale nie była w stanie, bo zaczęła płakać. Wtedy pojawił się pan Mandelbaum, który siedział na widowni, chcąc powiedzieć kilka słów; pragnął przypomnieć obchody Chanuki w lesie dwadzieścia lat wcześniej z Abraszą, Frejдке i Szmerkem Kaczerginskim, wspominał szczegółowo, jak zapalali świece – na pamiątkę dawnego cudu w Świątyni, czy ku czci zamordowanych milionów? Mówił o tym, jakie słowa padły, i o tym, jak później, kiedy czuli odór ciał Niemców palących się na wszystkich drogach, był to zapach zemsty, zemsty, którą poprzysięgli, tworząc oddział pod nazwą „Nekome”,

czyli zemsta. Po czym on sam też wybuchnął płaczem i żona musiała go wyprowadzić z sali.

Ostatnie słowo należało do Suckewera. Przemawiając niczym w transie, chodził po sali wywołując imiona dawnych wileńskich przyjaciół: Czuzoj, kumpel, z którym chodził pływać na drugą stronę rzeki Wilii, Tewke Szeres „o spojrzeniu tak stanowczym i spokojnym, że mogło zmiażdżyć wroga”. Suckewer nagle jakby odmłodził. Został przywołany do przeszłości, czasów przed masakrą, i teraz, odpowiadając na to wezwanie, przystąpił do obchodów kolejnego pierwszego wieczoru Chanuki.

Był 1928 rok – mówił – miał piętnaście lat (czyli dokładnie tyle co ja) i jego matka weszła w różowej chustce na głowie na lodowaty strych, gdzie mieszkali, przy ulicy Wiłkomirskiej 14 na przedmieściach Wilna, w Śnipiszkach, zastając go na pisaniu wiersza. Utwór, który teraz miał nam przeczytać, został napisany na pamiętkę o tamtym „pierwszym wierszu”.

Kiedy autobus skręcił w lewo na ulicę Ibn Gabirola, zmierzając w stronę terminalu, przypomniałem sobie, jak bardzo byłem rozczarowany Suckewerem tamtego wieczoru, że wybrał ten właśnie wiersz o swoim dzieciństwie z inwokacją do podarunku, jakim było pióro w pudełku z drewna cedrowego.

– A czego się spodziewałeś? – spytał mój kolega Chaskiel, sam początkujący żydowski poeta, kiedy podzieliłem się z nim następnego dnia moim rozczarowaniem – że wyrecytuje *Nauczycielkę Mirę*,

której uczyliśmy się w szkole na pamięć? Z drewna cedrowego – przypomniał mi Chaskiel – buduje się arki odporne na wezbrane fale.

– Powinien był przeczytać jeden z wierszy, które napisał walcząc z partyzantami, fioletowym sokiem z jagód zamiast atramentu – zaoponowałem.

Ale teraz pojąłem, że Chaskiel miał rację. Suckewera od śmierci ocalił nie wojskowy samolot, lecz muza, muza, która odwiedzała go ciągle, czy to w świetlistym mrozie wileńskiego przedmieścia, czy w obezwładniającym upale Tel Awiwu. I aby się upewnić, że ta wysłanniczka niebios nie zaginie po drodze, Suckewer, być może tego samego dnia, kiedy wileńskich Żydów spędzono i zagnano do getta, a może później, kiedy nie pozostało z nich nic oprócz popiołów, zdołał ocalić blaszkę z adresem w Śnipiszkach, aby kilkadziesiąt lat później muza mogła trafić na najwyższe piętro do namaszczonego przez nią poety i objąć w serdecznym uścisku.

Z angielskiego przełożyła

**Monika Adamczyk-Garbowska**

## Rozdział 22. z książki

**David G. Roskiesa,**  
***Yiddishlands. A Memoir,***  
**Wayne University Press, Detroit 2008.**

Cztery miesiące temu, 20 stycznia 2010 roku, zmarł wybitny poeta jidysz – Abraham Suckewer. Jest to śmierć wyjątkowa, ponieważ zabrała ostatnią z wielkich osobowości twórczych języka żydowskiego. Suckewer jest postrzegany nie tylko jako jeden z najwybitniejszych modernistów poezji jidysz, ale zalicza się go do światowej czołówki poetów dwudziestego wieku. Jego życie i twórczość rozciągnęły się na trzy epoki dziejów literatury jidysz: międzywojenny okres rozkwitu awangardowej poezji jidysz, tragiczny okres Zagłady, której był świadkiem oraz powojenny czas bezdomności kultury jidysz, gdy zaczęła ona pełnić rolę strażnika pamięci<sup>2</sup>.

Suckewer urodził się 15 lipca 1913 r. w Smorgoniu – mieście obecnie znajdującym się na terenie Białorusi, w którym przed II wojną światową Żydzi stanowili 76 proc. mieszkańców. Pochodził z rodziny o tradycjach rabinackich, zaliczających się do intelektualnych elit. W czasie I wojny światowej – w 1915 r., gdy Żydzi zostali zmuszeni do opuszczenia Smorgonia, a ich domy i sklepy spalono, rodzina Suckewerów wyjechała do Omska. Na wczesną twórczość Suckewera znaczny wpływ wywarł pobyt na Syberii oraz przedwczesna śmierć ojca w 1920 roku. Po zgonie męża matka wraz z trójką dzieci wróciła do Smorgonia. Miasto było jednak zrujnowane, wobec czego rodzina przeniosła się do Wilna i zamieszkała na Śnipiszkach. Rodzina była dobrze sytuowana finansowo, więc Abraham otrzymał staranne wykształcenie religijne i świeckie. Po ukończeniu

### Przypisy

<sup>1</sup> Hebr. „Oto jestem” – przyp. tłum.

<sup>2</sup> Później ten wiersz ukazał się pod tytułem „In torbe funem wint” (W torbie wiatru) i pod takim tytułem można go znaleźć m.in. w dwujęzycznej antologii *The Penguin Book of Modern Yiddish Verse*, red. Irving Howe, Ruth R. Wisse i Khone Shmeruk, Penguin Books, 1988, s. 675 (przyp. tłum.).

<sup>3</sup> Słowo w tytule odnosi się do języka jidysz w wyobrażonej przez autora roli nowego esperanto, czyli języka międzynarodowego (przyp. tłum.).

<sup>4</sup> Nawiązanie do pierwszej „akcji” przeprowadzonej przez Niemców w wileńskim getcie. W jej ramach Niemcy wydali 3000 specjalnych żółtych kartek dla rzemieślników i wysoko wykwalifikowanych robotników. Każdy z nich mógł dopisać na swojej kartce żonę i dwoje dzieci. Na mocy tego zarządzenia 12 tysięcy ludzi zamieszkało w wileńskim getcie, zaś 3781 osób, które nie uzyskały żółtych kartek, zostało zamordowanych w Ponarach k. Wilna między 25 a 27 października 1941 r. (przyp. tłum.).